

## Rozdział XIII

Poprzedni dzień umknął nie wiadomo gdzie. Kolejna nieprzespana noc na tylnym siedzeniu samochodu to nie część kontraktu, który podpisywał z głównym komisariatem policji. Dochodziła czternasta. Oczywiście, że nie zdąży na przedstawienie. Nie było cienia szansy. Uderzył wściekły w kierownicę i poczuł jej twardej materiał na zbitych kłykciach. Siłowanie się z martwą materią nie zawsze wychodzi człowiekowi na dobre. Do teraz dźwięczały mu w głowie przekleństwa Raya rzucone na niego i obietnice rozszarpania na kawałki. Ethan był na siebie zły, że tak łatwo dał się podejść tamtemu szczeniakowi. Zlekceważył kuternogę i miał za swoje. A miał ją w rękach, ścisnął jej gardło (wersja dla Raya: „Miałem ją w rękach, trzymałem za ramiona i wkładałem do samochodu, kiedy podszedł do mnie tamten gnojek i poraził tym cholerstwem”), dusił jak wróbelka i spartaczył tak łatwe zadanie. Trzy miesiące harowy poszły się dymać, do stu pieprzonych diabłów.

Nie dzwonił do żony. Konfrontacja była nieunikniona, lecz odkładał ją na później. Po raz kolejny zawiódł swoje dziecko, kiedy to najbardziej potrzebowało ojca. Zawiódł swoją ukochaną żonę, za którą śmiało oddałby życie. I wszystko przez przekłętą dziwkę spod ciemnej gwiazdy, której zachciało się uciekać z domu. Pamiętał, jakby to było dzisiaj, kiedy Ray zapukał do drzwi jego biało-kremowego domu na przedmieściach na zachodzie Alabamy, mając u swego boku Emmę, zrozpaczoną kobietę, której przytrafiło się wielkie nieszczęście. Tak, tej rozmowy nie zapomni, a bardziej rozmowy po rozmowie, w gabinecie na piętrze, gdy jego żona pocieszała Emmę w kuchni przy filiżance mocnej kawy (nie wypity ani kropli), a on z Rayem przeprowadził błąhy rozhovor. Rzecz jasna, nie był to ani błąhy, ani rozhovor, a gwałtowna wymiana zdań, której końca można się doszukiwać na drodze międzystanowej numer czterdzieści dziewięć w stanie Luizjana.

Instynkt poprowadził go tak daleko. Instynkt i rozmowa z przyjacielem. Ray dostarczył mu kilku ważnych wskazówek, szczególnie tych, które sam zdobył przed kilkoma dniami. Oboje już domyślali się, gdzie dokładnie Lynn zamierza dojechać, a ich priorytetem było udaremnienie jej tych planów. „Jeśli spadnie jej choćby włos z głowy, zabiję cię”. Tak więc broń w schowku musiała sobie grzecznie leżeć i bezczynnie czekać na swoją okazję. A kiedy ta się napatoczy, niech mnie diabli wezmą, jeśli jej nie wykorzystam. Jak dziwka wywinie jakiś numer, będzie martwa.

Podjeżdżali pod Midcity, leżące nieopodal Red River, rzeki długiej na ponad dwa tysiące kilometrów. Trzeba przyznać, że widoki potrafiły natchnąć nawet największego sceptyka przyrody. Romantyczne obrazy przesuwające się wzdłuż wijącej się między zielonymi terenami i parkami drogi stanowej czasami wręcz magnetycznym działaniem przykuwały wzrok i nie puszczały. Zbliżała się trzecia po południu, słońce powoli schodziło ze sceny, a na deski wkraczały refleksy na wodzie i serpentyny pożółkłego i migotliwego światła środka dnia.

Kiedy tak z każdą milą oddalał się od domu i kiedy już niebawem miał przekonać się o z góry przesądzonym losie, wyruszył w podróż w głąb mózgu i znalazł tam jedno wspomnienie. Usiadł w pierwszym rzędzie i oglądał z uwagą każdą klatkę, by nie przegapić choćby jednego upragnionego szczegółu.

Pojechali z Laurą nad jezioro. Lake Burton mieści się w hrabstwie Rabun na północy Georgii. Był marzec, lód już stajał, gdzieś tam topniały ostatki mroźnej zimy. Tego dnia słońce świeciło intensywnie, a oni leżeli nad trawiastym brzegiem jeziora, mając za sobą stromy spad kilku połączonych wzgórz i wyżyn obrosniętych mchem, krzewami, z wbitymi w ziemię tysiącami pni sosen i modrzewi. Nieopodal serpentyna strumyka sunęła między wysokimi jodłami, kończąc żywot w zagłębieniu piaszczystej plaży kilkadziesiąt metrów od zakochanych. Laura ułożyła się wygodnie w nogach Petera, opierając głowę na jego zdrowym udzie i trzymając ręce na nogach. Peter opierał się plecami o niewysoki kopiec, który przypominał leśny stolik dla gromady zwariowanych przyjaciół Alicji. Znajdowali się w centrum zainteresowania wiosennego słoneczka z uradowanym uśmiechem. Śpiewy ptaków – wielostopniowe symfonie – przerywały silniejsze porywy lodowatego wiatru. Niestrasznego Peterowi i Laurze, młodym kochankom, którzy wtedy jeszcze nie przeczuwali, co spotka ich za parę miesięcy.

Gładził jej miękkie i puszyste włosy, które rozlały mu się na brzuchu. Czuł jej ciepły oddech na udzie. Znali się ponad pięć miesięcy, a on czuł, jakby właśnie wtedy się urodził. Październik stał się jego datą urodzin. Leżeli niewinnie i czerpali pełnymi garściami z każdej sekundy tej wspólnie spędzonej chwili, a on modlił się w duchu, by już nigdy nie musieli wstawać, opuszczać tego miejsca i wracać do domku kempingowego, do rodziców Petera.

Nie odzywali się długi czas. Byli jak połączone korzenie drzew – nie potrzebowali słów, by się porozumieć. Szóstym zmysłem, trzecim okiem rozmawiali ze sobą, używając słów

miłości. Leżała przy nim i dziękował Bogu za cud, którym go obdarzył. Inni czekają na niego całe życie, a jemu przytrafił się już teraz.

– Wiesz, jakie to ptaki śpiewają? – odezwała się rozmarzonym głosem Laura.

Jej głos przypominał mu, że znajdują się tutaj, na ziemi, pośród śmiertelnych zwierząt i zwyczajnych myśli. Jakże dziwnie było wracać do tego obcego mu już świata.

– Nie – powiedział, choć chciałby to wiedzieć.

A śpiewały bagienniki żółtobrewa i fibiki czarne. Grały niezapomniane melodie, słyszalne jeszcze w czasach, kiedy człowiek znaczył tyle co kępa trawy na klifie urwiska.

– Nienawidzę dużych miast – odezwała się znowu Laura. – Zabijają to, co w przyrodzie najcudowniejsze.

– Ale za to mamy McDonaldy. I całodobowe kina. – Zaśmiał się Peter.

Laura pacnęła go w łydkę.

– Przestań! – Chciała wypaść przekonująco nastroszona i zła, ale ostatecznie zaśmiała się wraz z nim. – To nie jest śmieszne.

A jednak obydwójce się śmiali. W tym momencie byli najszczęśliwszymi ludźmi pod słońcem.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam o mojej koleżance?

– Tej puszczańskiej?

Jego łydka znów poczuła wszystkie pięć palców lewej ręki Laury.

– To już nie było zabawne.

– Nie miało być.

– Nie, nie tej puszczańskiej – wycodziła przez zęby. – I tamta nie jest puszczańska. Nie życzę sobie, żebyś tak się wyrażał o mojej przyjaciółce, czy to jasne?

– Jasne.

– Mówię o tej koleżance, którą parę miesięcy temu rzucił chłopak.

– O Kelly?

– Tak. Rozmawiałam z nią wczoraj, jak się pakowałam.

– I co?

Laura wyraźnie posmutniała. Nie widział jej twarzy, ale czuł to. Zawsze działo się coś niedobrego, kiedy Laura zaczynała tak milczeć.

– Bardzo go kochała.

Domyślał się, że chce mu opowiedzieć dłuższą historię albo zamierza zapytać o coś bardzo ważnego. Zawsze istniała przyczyna jej dawkania informacji. Najczęściej ściagała się sama ze sobą w zawodach w gadulstwie.

– Powiedziała mi wczoraj, że już nigdy z nikim nie będzie.

Peter nie rozumiał, po co mu to mówiła. Nigdy na oczy nie widział tej całej Kelly, więc jaki był sens zagłębiania się w jej życiorys i profil psychologiczny?

– Przecież tego nie wie. Jest w twoim wieku, prawda? Jeszcze milion razy jej się to odwiedzi.

Ale Laura nie zamierzała skończyć tematu. Najwyraźniej miała ku temu ważny powód.

– Skrzywdził ją. Nawet nie wie, jak bardzo. Powiedziała mi, że myślała o tym – podkreśliła słowo „tym”.

– O czym?

Laura zamilkła.

– Chyba nie mówisz o samobójstwie? – Cały nastrój zaczynał szlag trafiać.

Laura przysiadła i skrzyżowała nogi. Patrzyła na Petera zmartwiona i posmutniała.

– Właśnie o tym. Ten bydlak obiecywał jej wszystko. Mówił, że kocha ją nad życie, i co zrobił?

Ta rozmowa zahaczała o niebezpieczny grunt. Peter wyczuwał swąd rozpalonego lontu.

– Po co mi to mówisz? To chyba sekret, nie? Ona chyba nie chciałaby, żebyś o tym rozpowiadała.

Laura nie odpowiedziała. Patrzyła na Petera, a on w jej oczach widział rozszalałe diabły i chmurne jak noc anioły. Coś wyraźnie ciążyło jej na sercu. Położył rękę na jej szyi i pocałował w usta. Miała takie słodkie usta.

– Czy ty na pewno mnie kochasz?

Zdębiał. Odsunął się i zapatrzył na Laurę jak szaleniec w szpitalu bez klamek na widok za oknem.

– Jestem chora i mogę być dla ciebie ciężarem. Masz swoje plany i ambicje. A mną się trzeba opiekować. Po co chłopakowi taki balast? Jesteś świetnym chłopakiem i możesz znaleźć sobie inną, lepszą ode mnie. Nie popełnię żadnego samobójstwa, jeśli mi teraz powiesz, że nie chcesz ze mną być.

Cyrk wynajął kawałek gołej ziemi. Rozstawił sprzęt, podniósł namiot, obudził zwierzęta, kuglarze założyli stroje, klauni pomalowali twarze, kobieta z brodą uczesała się. Konferansjer zapowiadał przybyłym gościom pierwsze występy i wyjmował z kapelusza kolejne dowcipy.

Ale nawet widownia i konferansjer, i dyrektor cyrku nie przewidzieliby tych słów. Były jak płonące pochodnie, które stanęły w gardle Petera.

– Dlaczego uważasz, że cię nie Kocham? – zapytał pełen żalu i rozgoryczenia.

– Wcale nie, ja...

Przerwał jej ostro.

– Mówiąc coś takiego, zraniłaś mnie bardziej niż ktokolwiek inny. – W jego oczach pojawiły się łzy. – Jak mogłaś?

Laura tego nie przewidziała. To ona miała być tą, która się rozplacze, ale medal przewrócił się nie na tę stronę, na którą powinien.

– Peter, nie chciałam powiedzieć, że...

– Pytając mnie o coś takiego, podajesz w wątpliwość moje uczucia do ciebie. A to znaczy, że nie wiesz, czy cię Kocham. To teraz ja powinienem zadać to samo pytanie.

– Peter – musiała ratować sytuację – źle mnie zrozumiałaś. Ja nie zamierzałam podawać niczego w wątpliwość. Ja tylko...

Zamilkła, kiedy spojrzała mu w oczy. Teraz rozumiała. Głupia! On mnie zmanipulował!

– Zrobiłaś to specjalnie?!

Peter wytarł łzy.

– Łzy były prawdziwe – bronił się. – Ale tak. Za takie pytanie musiałem się odwdzięczyć.

Laura otworzyła szeroko usta i niedowierzała. Nie wiedziała, czy najpierw go uderzyć, a potem wybić mu zęby, czy na odwrót. Za to Peter wiedział, co zrobić. Chwytał ją za ramiona, odwrócił na plecy i przycisnął do trawy. Zawisł nad nią i zamknął w klatce z rąk. Patrzył w jej rozgwieżdżone oczy, nie mogąc zabrać wzroku z jej płonącej twarzy i drżącego ciała. Jej miodowy zapach z ust i szczebiotliwy uśmiech odbierały mu resztki stalowej woli i zdrowego rozsądku.

– Już nigdy nie chcę usłyszeć czegoś takiego, jasne? – zapytał surowo.

Pokiwała głową na znak, że rozumiała i że Kocha go najmocniej na świecie.

Przyłożył usta do jej ust i całował ją, aż zabrakło mu tchu. Nie potrafił się już od niej oderwać. Pięć minut później leżeli przytuleni do siebie na ziemi i oglądali wodny seans Lake Burton.

– Myślisz, że istnieją ludzie, którzy nie wierzą w miłość? – zapytał Peter, przyglądając się fali na niespokojnej tafli jeziora, wrywanej ze snu silniejszym podmuchem marcowego wiatru.

– Nie – odparła pewnie Laura. – Nie ma takich ludzi. Mogą być skrzywdzeni przez innych i wtedy myślą, że już nic dobrego ich nie spotka, ale są w błędzie. Każdy musi żyć w zgodzie z miłością.

– Ale ci się powiedziało. Od kiedy jesteś romantyczką?

– Myślisz, że jak piszesz wiersze, to znasz się na miłości lepiej ode mnie?

– Hmm, to pytanie podchwytliwe?

Dostał kuksańca w brzuch.

– Nie ma takich osób, Peter. Ludzie muszą kochać. Wcześniej czy później każdego to dopada.

I teraz, siedząc w samochodzie sympatycznego Lucasa, zmierzając ku zachodzącemu słońcu (dosłownie), z dziewczyną z wypaczonymi uczuciami i bałaganem w sercu siedzącą po jego prawej stronie, spierał się z Laurą, czy aby na pewno nie ma ludzi niewierzących w miłość. Lynn została skrzywdzona przez kogoś lub coś, to wiedział na pewno. Jedynie wielka, jeszcze nie do końca zagojona blizna przeszłości mogła wytrzebić jej duszę z dobra i miłości.

Ktoś pukał do drzwi. James niedawno wrócił z pracy i leżał wyczerpany na kanapie. Mama Petera gotowała coś w kuchni i nie słyszała pukania. Podniósł się ciężko z kanapy, założył laczki i poszedł otworzyć. W drzwiach stała Jennifer – jak zwykle śliczna i zadbana.

– James – odezwała się niewyraźnie i przytuliła go serdecznie.

– Jennifer. – Odsunął się i pozwolił kobiecie wejść do środka. – Co za niespodzianka! Co cię do nas sprowadza?

Z kuchni wyszła mama Petera i ucieszona widokiem przyjaciółki, uśmiechnęła się.

– Jennifer – powtórzyła za mężem. – Co tu robisz? Dlaczego nie zadzwoniłaś? Przygotowałabym coś specjalnego.

- Przepraszam, że nie dałam znać. Jesteście zajęci?
- Nie, nie – odpowiedzieli jednocześnie.
- Musiałam przyjść i sprawdzić, jak się czujecie. Chociaż to aż głupie pytać o coś takiego.

Mama Petera miała łzy w oczach, z wielu powodów. Myśl o ucieczce syna i niebezpieczeństwach, które mogą mu się przydarzyć, była nieznośna. Równie straszne było wspomnienie śmierci Laury i wczucie się w psychikę Jennifer, która straciła jedyne, ukochane dziecko. Płakała też ze szczęścia, że w obliczu tragedii, która spotkała Jennifer, kobieta przyszła ją odwiedzić i pocieszyć, choć sama znajdowała się w totalnej rozsypce. Minał dopiero tydzień od śmierci Laury. To wszystko... nikt nie mógłby tego pojąć.

Jennifer przytuliła się do roztrzęsionej kobiety i teraz obydwie dały upust swoim emocjom. James musiał zachować jako taki rezon, ale nie ukrywajmy, czuł się nie lepiej od nich. Laura była dla niego jak córka, a jedyny syn zostawił jego i matkę, ruszając na zatracenie. Cała trójka wiedziała, z jakiego powodu Peter opuścił Atlantę. Z oczywistych względów żadne z nich nie powiedziało tego na głos, nie było sensu.

- Chodź, zrobię nam kawę – zaproponowała mama Petera.
- Nie musisz. Nie chcę wam robić kłopotu.
- Nie wygłupiaj się.

Po kilku minutach wszyscy razem usiedli przy stole, każde z kubkiem gorącej kawy, rozmawiając o wielu rzeczach, ale na dobrą sprawę tylko dwie z nich były ważne. I każda z nich miała swoje imię.

- Znajdzie się – pocieszała Jennifer. – Jeśli policja go raz odnalazła, odnajdzie i drugi.
- Ale co za policja gubi nastoletniego utykającego chłopca?
- Jeden z policjantów został potrącony przez samochód, goniąc Petera – dodał niespodziewanie James, sam nie wiedząc, czemu to powiedział. – Pozwolili mu uciec i jeszcze doprowadzić do takiej tragedii.
- Całe szczęście, że jemu nic się nie stało – rzekła Jennifer. – On wróci, skarbie – powiedziała, ściskając dłoń zrozpaczonej matki zrozpaczonego chłopca.
- Przez to wszystko nie spytałam, jak ty się czujesz. – Uświadomiła sobie mama Petera. Była na siebie zła. Nie, była wściekła, sfrustrowana. Przez wzgląd na wszystko, co się zdarzyło i co jeszcze zdarzyć się mogło.

Jennifer zmieniła się na twarzy: przygasła jak płomień świecy, zapadły się jej policzki, uwydatniły pierwsze zmarszczki na czole i brodzie. W oczach tlił się ogienek cierpienia i niehumanitarnej katuszy po utracie ukochanej osoby.

– Sprzedajemy dom z Haroldem – oświadczyła z roztargnieniem. – Nie możemy tutaj dłużej mieszkać.

James położył rękę na plecach Jennifer i je pogładził. Więcej już zrobić nie mógł.

– Dokąd się przeprowadzacie?

– Do Kalifornii. Gdzieś w okolicy Melbourne. Laura zawsze chciała mieszkać w tych rejonach. Długo nas namawiała, żebyśmy tam pojechali, i jakoś nigdy się nie złożyło.

James popatrzył na żonę i wymienił z nią szybkie spojrzenie. Nie dość, że stracili Laurę, to jeszcze tracą przyjaciół. Uwielbiał Jennifer, Harolda też jakoś znosił, choć nie podobało mu się jego nastawienie wobec Petera. Nagle jak przedszkolak zatęsknił za tym, czego już nie będzie mógł mieć.

– Wiecie już, kiedy byście chcieli się wyprowadzić?

– Niedługo – Jennifer wypięła łyk kawy i zapatrzyła się na wzburzone fale czarnego płynu.

Atmosfera stawała się zbyt gęsta. Napięcie narastało z każdą minutą. Dwie zrozpaczone kobiety w jednej kuchni to wystarczająco dużo, by rozniecić ogień zawieruchy. James starał się pocieszać Jennifer, jednocześnie spoglądając na żonę, badając jej zachowanie. Niestety, stało się to, czego się obawiał. Mama Petera wpięrowała kilka łez, a potem schowała twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Jennifer prędko objęła ją ramieniem i sama też zaczęła płakać. James chwycił palce ukochanej, dodając jej otuchy.

Synu, gdzie ty jesteś? Też chciał go mieć już przy sobie. Jego i Laurę. Zobaczyć ich razem w kuchni, jak karmią się nawzajem jednym widelcem. Świadomość bezsilności kazała mu też uronić parę łez.

– Znajdzie się, zobaczycie – wyszeptała Jennifer, sama myśląc o martwej córce. I wreszcie powiedziała to, co od początku wisiało w powietrzu. – Zrobił to dla niej. Wiem, że będzie go strzegła.

Potem rozmawiali jeszcze chwilę. Już szczerze i otwarcie, tak jak powinno być od początku. Niestety, żadne z nich jeszcze nie domyślało się, dokąd Peter mógł wyruszyć. I z pewnością nie domyślali się, co go na drodze do utraconego szczęścia jeszcze miało spotkać.



## Rozdział XVIII

Dokończyli śniadanie, Jeff zapłacił za wszystkich (wbrew wysiłkom Petera nalegającego na podzielenie kosztów), wyszli na parking i wsiedli do rozgrzanej od słońca kabiny ciężarówki. Wielka pustynia niczyja zaczynała wypuszczać soki. W oddali horyzont falował i zniekształcał się. Drogą stanową numer czterdzieści sunęły rozpędzone samochody, zostawiając za sobą martwą ziemię Teksasu. Zaraz potem troje podróżnych poszło w ślady innych i uciekło od marsowych krajobrazów w stronę wschodzącego słońca.

I Peter, i Lynn starali się zachować pozory spokoju. Oboje czuli się parszywie, wiedząc, że ryzykują życiem dobrego i poczciwego człowieka, który nie miał pojęcia, komu tak naprawdę pomaga. Poczucie winy gryzło ich serca, lecz na szali wisiały także ich życia. Czy to chęć przetrwania kazała im wystawiać Jeffa na sztych? Peter nie czuł się wcale lepszy od złoczyńców i okrutnych filmowych drabów, którzy zabijają niewinnych ludzi. Świadomość narażania drugiego człowieka na śmierć trawiła jego sumienie i ciążyła mu w głowie bardziej niż cokolwiek innego. Igranie ludzkim życiem to niemal to samo co świadome zabójstwo. Peter i Lynn czuli się wszawo i jak wszy karmili się krwią Jeffa.

Z drugiej strony każdemu z nich zależało na życiu swoim i tego drugiego. Czy to złe i amoralne? Ratowanie jednego życia dzięki poświęceniu drugiego? Kto ustanowił prawo wyższości? Życie za życie. A przecież zostawiając Jeffa samego, równie dobrze mogli go narazić na niebezpieczeństwo. Kto wie, może nawet większe, niż groziło mu przy nich. To chwytnie się brzytwy na wodach zwątpienia i ratowania własnej duszy, ale lepsze to niż nic.

– Za pół godziny przejedziemy przez Groom, a za godzinę będziemy w Amarillo, mieście... Sam nie wiem czego, ale przynajmniej nie taka dziura jak te, które mijamy.

Zwrócił wzrok na Petera i Lynn.

– Mają tam takie festyny kowbojskie. Wiecie, bizony, lassa i strzelaniny z dubeltówek. Fajna sprawa. Jak ktoś lubi dziki zachód. Ja tam nie lubię i męczę się, jak widzę, kiedy te bidne zwierzaki się męczą. To wszystko to jedno wielkie wiadro gówna przemieszane z popieprzoną historyjką o dzielnych żołnierzach z lassami zamiast giwer. Pardon za wyrażanie się, *madame!*

Uśmiechnął się do Lynn, ale ona go nie słuchała.

– Co wy tacy nie w sosie, co? Nudzę was, nie?

Peter pierwszy otrząsnął się z czarnych chmur myśli.

– Co? Nie, co ty. Ja też nie lubię kowbojów.

Jeff wyglądał na zmartwionego.

– Na pewno wszystko w porządku? Jak coś, to walcie jak w dechę. Nie złamiecie mnie. –  
Znowu się zaśmiał.

– Strasznie gorąco w tym Teksasie – rzuciła na poczekaniu Lynn, żeby uciec od tematu ich wspaniałego i różanego samopoczucia.

– A czegoś ty się spodziewała, dziewczyno? To dziki zachód: stepy, żar, pustka i wielkie góry... i wielkie nic.

– A skąd dokładnie pochodzisz, jeśli mogę spytać? – spytał Peter.

– Ze wspaniałego miasteczka Freeport. Leży tuż przy ujściu Brazos, która ucieka do Zatoki Meksykańskiej. To miasteczko czysto portowe i wypoczynkowe. Mało mieszkańców, mało imprez, mało zabawy, ale jeśli szukacie zdrowego eteru i gorącego słońca, to idealne miejsce na wakacje. I do zamieszkania. Taki malutki zakątek szczęścia na tym zwariowanym padole łez.

– Wciąż tam mieszkasz?

– Nie, teraz mieszkam w Huston. Z zagajnika do lasu tropikalnego, co nie? Życie i okoliczności mnie zmusiły. Mnie i żonę. Mieliśmy chore dziecko. Tylko w dużym mieście mogliśmy znaleźć pomoc. Los czasami płata nam figła, nie ma co.

Lynn z Peterem wymienili pospieszne spojrzenie. Chore dziecko? Wciąż jest chore czy już wyzdrowiało? Matko, w co oni go wplątali!

– Ale co tam, trzeba patrzeć w przyszłość, prawda?

– Tak – Peter pokiwał głową, czując się z każdą sekundą gorzej. – Ale już jest dobrze? –  
Musiał wiedzieć. Po prostu musiał.

Jeff zamyślił się. Uciekł umysłem z kabiny w jakiś inny wymiar. Potem przerzucił wzrok z pustej i parującej asfaltowej drogi na Petera.

– Czasami należy wprowadzić chaos, aby wyprowadzić z niego ład – odezwał się enigmatycznie. Szukał czegoś w oczach chłopca, ale niedługo później przerwał i wrócił spojrzeniem na drogę. Żar lał się z nieba, a zroszone potem czoła Petera i Lynn zmarszczyły się.

– To znaczy? – przerwała ciszę Lynn.

– Czasami trzeba coś poświęcić w imię wyższego dobra, prawda?

Peter i Lynn wzdrygnęli się. Pierwszy raz usłyszeli taki ton w głosie Jeffa. To nie był on, ktoś obcy schowany w jego ciele wyrzucał te zagadkowe i upiorne słowa. Same w sobie nie były groźne, ale w połączeniu z tonem głosu i złknięm wyrazem twarzy brzmiały zatrważająco.

W pierwszej chwili pomyśleli, że Jeff poznał się na nich. W tajemniczy sposób poznał ich myśli i strachy. To nonsens, całkowita głupota, ale cała ta sytuacja nie trzymała się kupy. Nic tutaj nie grało, nie było takie, jakie powinno być. Do kabiny ciężarówki wdarł się cień.

– Co masz na myśli? – Peter chciał uciekać. Podświadomie wyczuwał w tej rozmowie zagrożenie. Takie myślenie było absurdem, umysł rzucał andronami, płał jakieś nedorzeczne figle, ale prawda była taka, że... wyczuwał niebezpieczeństwo. Pogłębione rysy twarzy Lynn również manifestowały to, o czym zapewne myślała. Przerazenie.

– Świadome działanie w imię dobra. Zło przekuć w dobro. Grzech w dobry uczynek. Porażkę w chwałę. To dobre myślenie, prawda?

Jezu kochany. Co tu się dzieje?!

Lynn przełknęła ślinę głośniejsze, niż zamierzała.

– Nie zgadzasz się z tym, Lynn?

– Nie wiem, czy się zgadzam, czy nie. Masz rację, że nie wszystko jest tylko białe albo tylko czarne.

– Dokładnie tak! – krzyknął Jeff. – Święte słowa. Właśnie o to mi chodzi. Szary kolor też istnieje, prawda?

– Prawda – przytaknęła. – Ale... – zawahała się – dlaczego poruszasz tę kwestię?

Nie spojrzął na nich. Patrzył w zamyśleniu na drogę.

– Dlaczego Bóg pozwala na takie rzeczy? Na to całe zło, co się dzieje dokoła? Ludzie nie czują się bezpieczni, bo zło może ich dopaść wszędzie. Dosłownie wszędzie.

Peter już nie karciał umysłu za nedorzeczne wysyłanie sygnałów. Czuł się zagrożony. Bał się, dostał gęsiej skórki, wyteżył słuch i wzrok, reagował na więcej bodźców. Serce mu przyspieszyło, oddech też. Powoli przestawał odczuwać strach. Zaczynał czuć przerażenie.

Lynn przycisnęła się do Petera. Zapomniała o wszystkim, co zaszło między nimi wczoraj. W tych okolicznościach tamte zmartwienia wydawały się niczym, pyłem na wietrze. Teraz obojgiem targał wściekły huragan. Bali się, z każdą sekundą coraz bardziej.

– Czasami nie potrafię tego wszystkiego wytrzymać. To napiera na mnie jak ściana nabita kolcami. Zbliża się, zbliża, a moja skóra czuje ostre krawędzie stalowych szpikulców. Zaczynam

krwawić, ale nie wykrwawiam się. I nie wykrwawię, bo moje ciało zdąży wyprodukować nową krew. I tak będzie się działo w nieskończoność.

Jeff nie rozmawiał z Peterem i Lynn, ale prowadził budzący grozę monolog. To, co mówił, a raczej wyrzucał z siebie, nie miało krzty sensu. A przynajmniej dla dwojga spanikowanych dzieciaków, które po raz kolejny znalazły się w sytuacji bez wyjścia. Choć Jeff nie zagrażał im bezpośrednio, bali się go, bo przechodził przemianę. Budziło się w nim coś złowrogiego. W każdej chwili mógł zrobić coś, czego się nie spodziewali.

– Nie jestem złym człowiekiem. Grzeszę jak każdy, nie chodzę co tydzień do kościoła, nie daję pieniędzy na zbiórki, ale nie zasługuję na piekło. Wiecie, dlaczego z fabryk samochodowych nie wyjeżdżają jeszcze samochody na silniki elektryczne czy zasilane energią słoneczną? Dlaczego cały świat nie pozbył się jeszcze silników spalinowych? Bo gigantyczne koncerny straciłyby popyt na swoje produkty. Stracono by na tym interesie setki miliardów dolarów. Ucierpieliby nie tylko oligarchowie naszego świata, ale też rządy i organizacje terrorystyczne. Dosłownie wszyscy, którzy czerpią korzyści z ropy. Dlatego zmiany zachodzą tak wolno. Dlatego kolejni ludzie giną przypadkową śmiercią – uduszeni, zadźgani, potrąceni, zastrzeleni. Jeśli wiesz, jak zmienić świat, lecz twój sposób ma zmienić też politykę pieniądza, giniesz. Setki, jeśli nie tysiące ludzi zginęło, bo chciało zmienić świat. Na przekór politykom i biznesmenom. To jest grzech. To jest zbrodnia. Morderstwo i przyzwolenie, aby świat truł się spalinami. Rządy mają na sumieniu więcej żyć niż ktokolwiek inny. Czy ja jestem zły? Czy ja zasługuję na piekło?

Poczucie zagrożenia przeszło w panikę. To nie był już ten Jeff, którego poznali. Przerażeni spoglądali to na niego, to na drogę, myśląc tylko o tym, co za chwilę się stanie.

– Ona była taka młoda – jęknął przeraźliwie. Odwrócił się do nich i miał łzy w oczach. – To dziecko nie zasługiwało na śmierć. Miała całe życie przed sobą.

Strach zdjął z Petera szatę spokoju. Na jego twarzy malowało się czyste przerażenie. Kiedy Jeff przestawał mówić, chłopak słyszał zdwojone bicie serca. Lęk nie pozwalał mu się ruszyć. Słuchał wyznań mężczyzny, modląc się tylko o to, by przeżyć. Tylko o to, by przeżyć.

– Słodka blondyneczka, kochana, uwielbiała las i spacerować. Pełna życia, po prostu wspaniałe dziecko. Nie zasłużyła sobie na taki los – mówiąc to, płakał. Znany im Jeff odszedł na zawsze. Zgubił się w odmętach myśli tego nowego, zatrważającego, paskudnego mężczyzny z chorym umysłem. – Nie chciałem, żeby zginęła!

Peter musiał zapytać. Znowu. Znowu musiał wiedzieć.

– Czy ty... – powinien siedzieć cicho. Ryzykował życiem swoim i Lynn – zabiłeś ją?

– Nie! – ryknął Jeff. – Nie! Kurwa, nie. Niiieeee – wychlipał, trzęsąc się na całym ciele. – Chciałbym, żebym to był ja. Chciałbym, żeby ją ktoś zamordował. Wtedy to miałoby sens. Wtedy to wszystko nie byłoby tak kurewsko popierdolone. Zamknęliby mnie, ale wiedziałbym za co, wiedziałbym, że słusznie, i w milczeniu żałował za grzechy. Ale zrobiłem rzecz o wiele gorszą...

Peter otwierał usta, żeby zadać kolejne pytanie, lecz Lynn położyła dłoń na jego ramieniu. Nie mógł drażnić lwa mięsem. Tylko tak mogli się jakoś z tego wykaraskać. Peter odwrócił głowę i spojrzał na przerażoną dziewczynę. Całe jej ciało mówiło: „Przestań!”. Ale on, nie wiedział dlaczego, musiał wiedzieć. Jakby prawda miała im w jakikolwiek sposób pomóc. Czuł wewnątrz siebie, że musi wiedzieć. Strach pokrył go całego, lękał się o życie i doskonale zdawał sobie sprawę, że nie mają dokąd uciec. Mimo tego wszystkiego musiał wiedzieć. Musiał!

– Jaką rzecz? – zapytał cicho, niemal szeptem.

– Chcecie wiedzieć? Chcecie wiedzieć, dlaczego ten kurewski szmaciarz powinien zdechnąć jak mucha na parapecie?

„Nie!”, krzyczało ciało Lynn. Nie chcę wiedzieć. Za późno. Jeff zaczął mówić:

– Tamten obszcymur z motelu, były mąż mojej siostry, którego poznaliście, to Mark Clampford. Dwa lata temu zostawiła go i rozwiedli się. Zapomniała o nim i ułożyła sobie życie na nowo. Ale ja go nie zostawiłem. On wciąż nawiedza moje życie, śni mi się w koszmarach, dławi mój oddech. Moja siostra, Sarah, zostawiła go po tym, jak dowiedziała się, że jest narkomanem i sam sprzedaje narkotyki. Ich małżeństwo i tak się nie układało, zaraz po ślubie ujrzała na własne oczy, za kogo wyszła. Za nic niewartego moczymordę i zbereźnika, któremu nic w życiu nie wyszło. Wiecie, skąd się dowiedziała o jego narkomanii? Ode mnie.

Co jakiś czas samotny wóz mijał ich po drugiej stronie pasa, ale nikt za nic nie domyśliłby się, że tych dwoje dzieciaków w kabinie normalnej ciężarówki prowadzonej przez zwykłego kierowcę potrzebuje pomocy. Tylko przyjrzenie się ich twarzom dałoby jako taki ogląd sytuacji, ale nikt nie zamierzał obserwować wyrazy twarzy nieznajomych na pustej teksańskiej drodze na samym środku pustyni. Byli skazani tylko na siebie.

– Ja jej to powiedziałem. Okłamałem ją. Dla jej dobra. Gdyby ten przeklęty sukinkot był narkomanem, to w porównaniu z prawdą można by go uznać za wyborną partię. On był już raz

żonaty. Miał z nią dziecko: Mirandę. – Oczy Jeffa załśniły. – Śliczna dziewczynka, słodka i idealna jak marzenie. Taki promyk szczęścia, kochana, bardzo kochana. Zostawił żonę, poznał moją siostrę, ożenił się drugi raz, ale nie stracił praw do dziecka. Albo on odwiedzał ją, albo ona, częściej, odwiedzała jego. Wtedy miałem okazję, przychodząc w odwiedziny do Sarah, cieszyć się obecnością małej Mirandy. Uwielbiałem się z nią bawić, opowiadać jej o moim i Sarah rodzinnymi miasteczku, o naszych przygodach z dzieciństwa. Kochałem jej towarzystwo, a ona chyba lubiła przebywać ze mną. Najlepsza dziewczynka na świecie.

Jeff uśmiechnął się, wciąż mając łzy w oczach. Peter czuł równie mocno strach, jak ciekawość. Wiedział, że ta historia nie ma szczęśliwego zakończenia, i wiedział też, że to zakończenie jest przyczyną rozpaczy tego nieszczęśliwego mężczyzny. Mężczyzny, który w każdej chwili mógł doprowadzić do tragedii.

– Jednak co jakiś czas zauważałem zmianę w jej zachowaniu. Bywała zasmucona, nieobecna, jakby... wyjąłowana z uczuć. Niczego się nie domyślałem, dopóki nie nadszedł ten dzień. Odwiedzałem ich dom, sukinsyn półpijany pomagał siostrze zastawiać stół do obiadu. Kłócili się, nie miałem ochoty być tego świadkiem. Poszedłem na górę, do Mirandy. Chciałem jej powiedzieć, że obiad jest już gotowy, a zarazem przeczekać z nią kłótnię na dole. A ona... Miranda leżała na łóżku i płakała. Dziewięcioletnie dziecko nie płacze z byle powodu, samotnie w swoim pokoju. Przysiadłem się do niej, przytuliłem i zapytałem, co się dzieje. Nie wiem dzisiaj sam, czy chciałem to usłyszeć. Nie wiem, co byłoby lepsze. Może gdybym tego nie usłyszał, nie doprowadził do ich rozwodu, może wtedy jeszcze jakoś by się to ułożyło. – Trzymał kurczowo obiema rękoma kierownicę. Łzy wypływały mu z kącików oczu, skapując na usta, brodę i koszulę. Nie było do końca jasne, czy on nadal mówił to Lynn i Peterowi. Być może mówił do siebie. Peter nie wiedział. – Kiedy na mnie spojrzała i opowiedziała... zdławił mnie strach. Kurwa, mnie! Starego pryka przeraziła opowieść małej, dziewięcioletniej dziewczynki. Ten pierdolony skurwiel gwałcił ją każdej nocy, kiedy u niego była! A Sarah o tym nie wiedziała.

Peter na moment wstrzymał oddech. Lynn przestała się na krótką chwilę bać.

– Okłamałem ją. Opowiedziałem jej bzdury o narkotykach i podobnych rzeczach. Uwierzyła mi, tym bardziej że drania od długiego czasu nienawidziła. Zostawiła go, kupiła nowe mieszkanie i odbudowała swoje życie. W odróżnieniu ode mnie. Mój koszmar dopiero się zaczął. Kiedy od niego odeszła, byłem gotów go zamordować. To nie byłoby trudne; śmierdziel upija się

każdego dnia. Nawet by się nie bronił. Jednak zanim cokolwiek przygotowałem, on sam się przygotował. Zaproponował mi układ: będzie dawał mi miesięcznie pięć tysięcy dolarów w zamian za milczenie. Nie wiem skąd, ale wiedział, że ja wiem. A ja... – Jeff już zupełnie nad sobą nie panował – ja się zgodziłem. Moja córka... choruje od urodzenia, terapia jest droga, piekielnie droga. Oboje z żoną opłacaliśmy leki, sami nie mając na jedzenie ani na nic. Te pięć tysięcy... Matko! Ułożyłem się z pedofilem! To mnie zniszczyło. Zabiło mnie!

Na przemian krzyczał i płakał, nie kontrolował ani siebie, ani ciężarówki. Za to Peter i Lynn na nowo zaczęli się bać. W powietrzu zawisła katastrofa. Zawisła śmierć.

– Pół roku później, czyli półtora roku temu, zadzwoniła do nas Sarah. Nie mogliśmy jej uspokoić. Krzyczała, wrzeszczała, zdierała gardło, aż w końcu wyrzuciła te pięć słów: „Miranda nie żyje. Popełniła samobójstwo!”. Dziewięcioletnia dziewczynka popełniła samobójstwo! Rzuciła się z dachu domu. Przyjechaliśmy od razu. Do dzisiaj śni mi się ta krew na jezdni. Mirando... – Jeff wpadł w amok. Wszystko w nim puściło. Uwolniło się to, co gromadziło się od dwóch lat. – Zabiłem ją! Zamordowałem Mirandę! Boże kochany, co ja narobiłem?!

Peter też uronił łzy, słysząc tragiczną opowieść z ust człowieka, który powoli tracił zmysły.

– To nie była twoja wina – rzekł cicho, ale dobitnie. – Słyszysz? To jego wina, nie twoja.

Jeff go nie słuchał. Drżał, bujał się na siedzeniu i krzyczał w niebogłosy, wykrzykując imię dziewczynki.

– To nie była twoja wina – Peter spojrzał na Lynn, ale ona nie była w stanie niczego z siebie wydusić. Przewrzenie wyłączyło jej mózg. Poza tym wyczytał z jej oczu, że ona uważała inaczej.

Jeff sięgnął ręką do schowka przy hamulcu ręcznym. Grzebał jedną ręką w środku, aż wyciągnął to, czego szukał. Czarny rewolwer.

– Żyłaby, gdybym zgłosił to na policję. Zajęliby się nią specjaliści. Ale ona wciąż go odwiedzała. A on wciąż ją gwałcił. Boże drogi... Ja nie chciałem! – ryczał jak zarzynana świnia, nie patrząc na drogę.

– Ratowałeś własne dziecko – powiedział Peter. – Robiłeś to dla dobra swojego dziecka. Nie zrobiłeś niczego złego, słyszysz mnie? Nie zrobiłeś niczego...

– Wybacz mi – Jeff po raz pierwszy od rozpoczęcia opowieści odwrócił wzrok na Petera. I ostatni. Przyłożył rewolwer do prawej skroni i pociągnął za spust. Kula przebiła czaszkę, wyleciała z drugiej strony i rozbiła szybę. Z dziury w skroni wielkości wiśni wyleciał fragment tkanki mózgowej, a krew prysła na twarz Petera. Ciało Jeffa bezwiednie opadło na siedzenie. Ciężarówka zakołysała się. Kierownica obracała się we wszystkie kierunki, rzucając wozem to w lewo, to w prawo.

Z przeciwnej strony nadjeżdżał samochód osobowy. Nie zdążył wyhamować ani skręcić. Wjechał czołowo w zderzak kabiny. Siła uderzenia zgmiotła go jak papier i wyrzuciła na bok z prędkością pocisku. Ciężarówka zakołysała się i z wielkim łomotem walnęła o ziemię, przesuając się jeszcze o ponad dwadzieścia metrów wzdłuż jezdni. Zgasł silnik, a z maski buchnęły kłęby dymu.

Nadjechały kolejne dwa samochody. Zatrzymały się, a kierowcy wraz z pasażerami biegli ile sił w kierunku miejsca wypadku. Ujrzeni tylko zmiażdżony samochód osobowy, z którego u dołu wyciekały cienkie strużki krwi, oraz przewróconą ciężarówkę z trzema nieruchomymi ciałami w zniszczonej kabinie.